

Opinia o rozprawie doktorskiej magistra Łukasza Żurka pt.

„Filologia lokalna - lokalność filologa. Praktyka naukowo-literacka Stefana Szymutki”

Recenzja Stefana Szymutki z edytorskiego doktoratu Tomasza Markiewki miała kilkadziesiąt stron, więc opiniując dysertację poświęconą Szymutce chciałbym zachować umiar, co nie będzie łatwe, bo praca Łukasza Żurka budzi we mnie nie mniejsze emocje.

1. Tytuł

Zaczynam od tytułu - finezyjnego i eleganckiego niby wiersz sylabotoniczny. Słychać tu serię amfibrachów przeplecionych peonami trzecimi, a w oczy rzucają się myślniki, które na przemian z kropkami dzielą całość na cztery odcinki. Dwuczęściowy tytuł jest tak symetryczny, że można by oba człony zamienić miejscami (*Praktyka naukowo-literacka Stefana Szymutki. Filologia lokalna - lokalność filologii*), a nawet przetasować ich zawartość (*Filologia lokalna Stefan Szymutki. Praktyka naukowo-literacka lokalnego filologa*). Inwersje i roszady nie burzą wymowy nagłówka, raczej wydobywają dodatkowe sensory i konteksty (np. związek „praktyki” z „lokalnością”). Koronkowa budowa tytułu sugeruje bowiem, że relacja między tytułem głównym a podtytułem, bliska jest równowagi, że obie części się oświetlają, a wszystkie elementy składowe współgrają brzmieniem i znaczeniem. Ale szaradowa struktura ma wyraźną dominantę - eksponuje relację między trzema pojęciami kluczowymi dla kompozycji dysertacji i dla jej sensu. Pierwsze słowo tytułu („filologia”) to jej główny temat i problem, zaś ostatnie („Stefan Szymutko”) wskazuje bohatera rozprawy; rolę łącznika, pośrednika i dynamicznego dodatku pomiędzy nimi pełni „lokalność”. Pytanie o „lokalność” filologii a zarazem wskazanego po imieniu aktanta to istota wyводу i doktorskiej tezy.

2. Główne tezy i kompozycja

Tytułowa „Lokalność” pasuje do Szymutki, ale też zaskakuje, bo po co zajmować się „lokalną” figurą i dlaczego właśnie nim? Idzie tu o śląskiego polonistę manifestującego swoje „korzenie”, lokującego się blisko ziemi - z dala od metropolitalnych Katowic i mysłowickiego rynku, w blokowisku peryferyjnej dzielnicy. Chłopak z Brzęczkowic, wywodzący się z

robotniczej rodziny, zatrudniony w młodym, cieszącym się złą sławą „czerwonym” Uniwersytecie był naukowcem słabo rozpoznawalnym w „skali krajowej”, a w macierzystym ośrodku – obecnym dyskretnie. Zwykle w cieniu miejscowych wielkości (Opacki, Sławek) i szefów cieszących się ogólnopolskim autorytetem (często młodszych), także koleżanek z Zakładu (wcześniej nominowanych do Nike), zaprzyjaźnionych krytyków (bardzo popularnych) i nawet uczniów (jak pokazała przyszłość). Nie idzie o „kolejność dziubania”, ale naukowy prestiż, który łatwiej osiągnęli rówieśnicy zajmujący się literaturą kresową czy emigracyjną, niż badacz publikujący książki i większość artykułów w wydawnictwie UŚ i regionalnych czasopismach. Drukowanie „u siebie” oznacza miejscowy, czyli skromny zasięg i rezonans (z paradoksalnym wyjątkiem arcylokalnego *Nagrobka*). Szymutko prowadził co prawda „wyjazdowe” badania w Stawisku, ale - co znamienne - przerwał je z niejasnych powodów. Osobliwie „wsobne” była też jego działania w macierzystym terenie: prace o Słonimskim i Lechoniu powstały poza zespołem skamandryckim, Sławińskim zajmował się z dala od IBL-u i Zakładu Teorii Literatury, Joyce’em - daleko od anglistyki. Towarzystwo im. Parnickiego założył w Katowicach, ale poza Zakładem Literatury Współczesnej, w momencie, kiedy patrona porzucili wybitni krytycy i badacze z centralnych ośrodków i redakcji. Swoje pasje uprawiał zwykle z boku, często bez licencji, jakby te sprywatyzowane (amatorskie?) działania, wzorem seminarium magisterskiego przenosił w strefę domową. Jakby cały świat literacki i naukowy chciał umiejscowić w rodzimym *locum*.

Znacznie trudniej zrozumieć tytułową „filologię lokalną”. To osobliwa fraza, obca polszczyźnie. Pamiętamy o filologii klasycznej, jest też słowiańska i wiele filologii narodowych (np. polska), ale co znaczy „lokalna”? Oba słowa mają odmienne znaczenie, pochodzenie i etymologię, ale w konsonantycznym tytule (*Filologia lokalna - lokalność filologii*) upodobniają się do siebie fonicznie (w sekwencji 4 słów 8-krotnie wybrzmiewa głoska „l”, a 6-krotnie sylaba „lo”). Łukasz Żurek najwyraźniej sięga po czar eufonii, by związać obie kategorie, a służy temu także ich chiazmatyczne połączenie. Chiazm sugeruje skrzyżowanie ścieżki filologii z duktem lokalności (jakkolwiek ją rozumiemy), wyraża też wolę skrzyżowania obu pojęć tak jak krzyżuje się gatunki (by narodziło się coś nowego?). Ale ta figura, zgodnie z tradycją może kojarzyć się jeszcze ze zbawczym aktem „ukrzyżowania”. Takie odczytanie nagłówka jest ryzykowne, odsłania jednak najgłębszy sens pracy, która konsekwentnie idealizuje, a nawet uświęca filologię. Lecz to „ubóstwienie” osiąga dramatyczny wymiar dopiero w zetknięciu z „lokalnością” (miejsca–tekstu-osoby), wtedy staje się synonimem „wcielenia”. Autor unikający terminów teologicznych wprowadza w tym miejscu, wzorem

Szymutki, Ingardenowską kategorię „konkretyzacji”. Dopiero tak sugestywnie „skonkretyzowana”, czyli „zlokalizowana” i zarazem „wcielona” (w sensie somatycznym i chrystologicznym), dopiero „ukrzyżowana” filologia zbawiać tzn. przywrócić wspólnotę pisarzy, badaczy i czytelników, jedność lingwistyki, teorii i historii literatury, filozofii i tekstologii z edytorstwem – całej humanistyki! Czyżby w filologu z dalekiej prowincji należało rozpoznać figurę zbawcy? („Najbardziej Przyszły, ponieważ przyszedł z dali w tej dali przemierza i przemienia to, co największe” - Heidegger o Hölderlinie, H. 371). Doktorant wystrzegający się postsekularnego dyskursu wołałby pewnie mówić o alienacji współczesnego literaturoznawstwa, rozdrobnieniu, jałowej specjalizacji, rywalizacji, komercjalizacji, urynkowania i innych bolączkach naukowego „liberalizmu”, które mogłaby uleczyć filologia. Wyczuwam tu misyjną pasję, może nawet ideologiczną gorliwość, a zarazem wewnętrzne przekonanie, że od prowadzonych badań zależy egzystencja i los badacza. Jeśli przypisuję magistrowi Żurkowi inicjacyjną „gorączkę” (podobną do tej jaką pamiętam z doktorskiego seminarium Marii Janion), to sprowokowany zostałem „inicjacyjnym” pytaniem jakim autor wita czytelnika:

„Zacznę od pytań Sfingi na które albo udzieli się odpowiedzi, albo się zginie. Po co zajmować się ‘filologią’?”

Sfinksowa kwestia, powtórzona za Szymutką na progu pracy, nie pozostawia wątpliwości, że sens uprawiania filologii jest dla Autora kwestią życia i śmierci. Ale to jedyne transgresyjne miejsce, reszta tekstu jest zdyscyplinowana, trzyma się naukowego dyskursu. Autor nie nadużywa metafor, nie forsuje retorycznych figur, nie epatuje emocjami, unika egzaltacji, wystrzega się wartościowania, nie eksponuje własnego „ja”. Pisze jasno i precyzyjnie, skrupulatnie wykorzystując imponujący zakres wiedzy, sumiennie wskazuje źródła. Takiej rzeczowości i skromności wolno się spodziewać po „rasowym” filologu, ale nie oznacza to „szczegółarstwa” (wyśmiewanego przez Taine’a), przeciwnie, naukowa narracja czyni z drobnych śladów elementy śledztwa, które z kryminologii do humanistyki próbował aplikować Carlo Ginsburg. Dlatego uczoną opowieść o „przygodach” filologii czytam z zapartym tchem. Nie jest to jednak sensacyjna historia w odcinkach, lecz wzorowo skonstruowany traktat.

Dychotomii tytułu odpowiada bowiem dwudzielność kompozycji: rozdział pierwszy (*Kondycja filologii*) dotyczy statusu tytułowej dziedziny, natomiast drugi i trzeci (w zwartym bloku ok. 130 stron) prezentują twórczość śląskiego uczonego. Całość zamyka rozdział czwarty (*Komplikowanie wiedzy: księgozbiór filologa*), gdzie w figurze archiwum zgrabnie sumują się

obie połówki i oba aspekty pracy. Końcowa synteza dokonuje się w 3 krokach: od ogólnej idei (symboliczne „archiwum” Derridy), przez filologiczny namysł nad archiwami znanych badaczy, po analizę kolekcji książek Szymutki. Doskonała triada!

3. O filologii

Przechodzę do rozdziału pierwszego, gdzie „kondycja filologii” jest modelowo rozpatrywana na przykładzie humanistyki amerykańskiej (reprezentatywnej i wpływowej). Tu najlepiej widać erudycję i intelektualny rozmach. Dzieje nowoczesnego literaturoznawstwa w USA okazują się procesem marginalizacji filologii, szczególnie po II wojnie, kiedy Wellek zalecił wycofanie z obiegu terminu „filologia” (s.11); „wytarte” pojęcie wrócić miało dopiero na początku lat 80-tych na fali niezliczonych „powrotów” (*Return to philology* de Mana). W oczach Żurka jest to jednak tylko „jednowątkowa opowieść o narodzinach upadku i powrocie”, (s.16) obiegowa narracja, której przewidywalnym finałem musi być tyleż magiczny co mechaniczny „Turn”. Za to uproszczenie odpowiada literaturoznawstwo ufundowane na liberalnym dyskursie i liberalnej (urynkowanej) ekonomii wiedzy (w tym reżimie mieści się też Nyczowa opozycja „starej” i „nowej” humanistyki). Można by dodać za Barthesem że amerykańska opowieść o „upadku i powrocie” filologii jest „mitem skradzionym”, któremu brakuje soteriologicznej powagi (zamiast ofiary i odkupienia mamy giełdowy zjazd i wzrosty kursu). Pogłoska o śmierci filologii jest zatem pochopna, a Żurek rekonstruuje jej ciągłość i trwałość. Zamiast domniemanej „śmierci” zajmuje go filologiczne „życie po życiu”. Śladów przetrwania szuka daleko od Ameryki i daleko od abstrakcyjnego uniwersum – „lokalizuje” je w Polsce, a zwłaszcza na Śląsku.

Ten rozdział miał już swoją premierę w druku pod tytułem *Filologia: problemy definicyjne (Od Baudouina do de Mana)* otwierającym zbiorowy tom *Filozofia filologii* (2019), pod red. Artura Hellicha, Heleny Markowskiej-Fulary, Jana Potkańskiego i Łukasza Żurka, właśnie Pełni tam rolę historycznego wprowadzenia i uporządkowania pojęć. To mocna pozycja w książce gromadzącej głosy młodych entuzjastów filologii z pięciu ośrodków akademickich w Polsce. Jeśli wydarzył się u nas „zwrot filologiczny”, to ów tom o znamionach metodologicznego i pokoleniowego manifestu, ma szansę (obok tematycznego numeru „Tekstów Drugich”) na awans do spisu lektur uniwersyteckich.

Kondycja filologii posiada jeszcze jeden punkt odniesienia, a raczej filar, bo równolegle z finalizacją doktoratu Żurka ukazał się *Wiek teorii*, monumentalna monografia *Stu lat nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego* pod redakcją Danuty Ulickiej. Jej wprowadzający

Rzut oka na nowoczesne literaturoznawstwo teoretyczne jest obszerniejszy i gruntowniejszy od wstępu do *Filozofii filologii*, ale wspólnota myślenia Mistrzynie i Adepta (potwierdzona przypisami) jest uderzająca - jakby grali ten sam koncert na dwóch fortepianach! Oboje kreślą panoramę tej samej epoki i wskazują analogiczne procesy, choć Ulicka terytorium zwane „Teorią” rozszerza mianem „literaturoznawstwa”, Żurek zaś mówi o „filologii”. Oboje też rozpoczynają wywód od agnotologicznej deklaracji, zgodnie upominają się o to, co zostało zmarginalizowane, stłumione, zapomniane. Ulicka rekonstruuje swoisty „rozbiór” polskiej wiedzy o literaturze, natomiast Żurek demaskuje „zabór” filologii (nie tylko polskiej) przez teoretyków. Oba „imperialistyczne” zamachy narzuciły nam trójfazowy obraz dziejów dyscypliny: rosyjski formalizm – praski strukturalizm – francusko/amerykański poststrukturalizm (French Theory), a potem: wysyp „zwrotów”. I ta narracja niweluje udział filologii, a zarazem wyciera tę część środkowoeuropejskich początków teorii, które nie są ani rosyjskie ani czeskosłowackie. Ulicka upomina się o polskich prekursorów i współtwórców (Rozwadowskiego, de Courtenaya, Wóycickiego, Skwarczyńską itd.) Natomiast Jej Doktorant już w tytule zaczyna od Baudouina, a do listy rodzimych znakomitości dodaje swoje personalne odkrycia (Bołozza Antoniewicza czy Mierzyńskiego). Ale co najważniejsze dopisuje ciąg dalszy tego procesu dotyczący lat 1981 - 2006, skupiony wokół dorobku Stefana Szymutki (o którym pamięta też Ulicka). Kluczowa dla tezy Żurka „lokalność” śląskiego badacza koresponduje z wizją geograficzno-regionalną *Rzutu oka*. Jednak Ulicka „mapuje” polskie literaturoznawstwa w 3 wymiarach („powszechnym - sąsiedzkim – tutejszym”), natomiast Żurek tylko w dwóch, przeciwstawiając „uniwersalizm” (amerykański) dojmująco swojskiej, niekiedy boleśnie prowincjonalnej „tutejszości” (domena Szymutki). Taki dualizm sprzyja agonizacji wywodu, choć Żurek – wzorem Ulickiej – stara się nie ulegać resentymencie, nigdy nie wspomina o lekceważeniu czy krzywdzie.

Reasumując, krajobraz filologii przedstawiony w inicjalnym rozdziale dysertacji wyrasta z atmosfery i odkryć seminarium doktoranckiego Ulickiej, z działań grantowych związanych z *Wiekami Teorii*, a zarazem z pracy kolektywu, w którym uczestniczyli też inni młodo-filolodzy (Markowska-Fulara i Hellich), współtwórcy „nowofilologicznego” manifestu. Kiedy Promotorka wypatruje „geniusza miejsca i czasu”, kiedy „geografię oficjalną” łączy z „przyziemianiem literaturoznawstwa” (WT 6–82), wtedy Doktorant rusza w teren, by odkrywać „dziką” śląską prowincję. Widać, że jest samodzielny i że rozwija zdobycze szkoły, z której się wywodzi, a jego rozprawa jest naturalnym dopełnieniem i kontynuacją *Wieków Teorii*.

Wystawiając pomnik Żurkowi nie myślę szukać rysy, raczej upomniałbym się o nurt badawczy, który nie „wydał” filologii. W przedstawionej historii brakuje hermeneutyki, która w skrajnym ujęciu (*Filologia jako moralność* Gasparowa) jest tylko inną nazwą odwiecznej filologii definiowanej jako „nauka rozumienia”. Nowocześni hermeneuci zdawali sobie jednak sprawę, że wypracowana przez filologów metoda historyczno-krytyczna jest dojmująco „przyziemna”, a zarazem niezbędna. „Nic nie może zastąpić egzegezy” - powtarzał Ricoeur - świadom, że zawsze (wczoraj i jutro) warto wiedzieć, kto napisał dane dzieło, komu zawdzięczamy tytuł, czy tekst jest kompletny, oryginalny, wiernie skopiowany itp. Komentarz jest konieczny do interpretacji, wymaga tylko odświeżenia („rektyfikacji z pozytywistycznych złudzeń źródła i autora”). Efekt filologicznej egzegezy nie zadowoli formalisty, postmodernisty ani „humanisty rozumiejącego”, ale zawsze się przyda, (co wie Szymutkowy „dhubacz”). Jeśli nie jest alfą i omegą, to i tak przetrwa, bez obrony i reklamy. Filologia jest wieczna, co wyjaśnić może, dlaczego na nagrobku Jakobsona (zaprzyjaźnionego z Ricoeurem) wyryto słowo „filolog” (podobnie na grobie Mayenowej). Zdaje się, że Żurek chciałby tak samo uhonorować Szymutkę, który analogicznie jak mistrzowie (także Ricoeur) dochodził do filologii przez strukturalizm. Porzucił Sławińskiego dla Nietzschego i Heideggera, omijając rodzimych humanistów rozumiejących (bo kojarzyli się z narodowo-romantycznym paradygmatem?). Ten lekturowy szlak warto sprawdzić w archiwum badacza (co z książkami Janion i Rymkiewicza? *Czy Egzystencja i hermeneutyka stoi obok Przyczynków do filozofii?*)

4. Młodość filologa

Przechodzę, a właściwie już przeszedłem, do części drugiej rozprawy, która nie jest monografią Szymutki. Nie ma tu dociekań biograficznych i psychologicznych, ani systematycznego przeglądu pism czy analizy recepcji, brakuje portretowego rysu. Unikatowość tej prezentacji kojarzę z praktyką Ginzburga, (którego metodę „śledczą”, Żurek chwali i naśladuje), ale idzie mi o książkę *Ser i robaki*. Historyk odtwarza tam *Wizję świata pewnego młynarza z XVI wieku*, natomiast polonista rekonstruuje wizję plebejusza z Mysłowic, który też nauczył się czytać, nawet wszedł w prógi prowincjonalnej uczelni, by pod koniec wieku XX głosić swoje herezje. Włoski uczony nie zajmuje się „bohaterskimi czynami władców” (warszawski badacz też odsuwa na bok luminarzy), by w finale pracy dojść do zestawienia „Kultury dominującej i kultury warstw podporządkowanych” (G. i 99). Odkrywa ukrytą „wymianę między kulturą wyższą a ludową”, co zagraża supremacji klas dominujących. Dlatego Menochio został skazany przez Święte Officjum i spalony na stosie, natomiast peryferyjnego „mądrali” nie przstraszyła się polonistyczna „centrala”. Myślenie młynarza z

Friuli było niebezpieczne (jeśli pamiętać o buntach chłopskich), natomiast myślenie filologa z Mysłowic nie budziło obaw. Jego wpływ zdaje się odwleczony w czasie, bo to, co zlekceważone i zapomniane, dziś okazuje się inspirujące. I tak dzięki Żurkowi Szymutko jakby wyrastał na Tomasza Münstera zrewoltowanej filologii!

Prezentacja jego działalności naukowej dzieli się na dwa etapy, pierwsza część obejmuje juvenilia nie przedrukowane w pośmiertnym wyborze, praktycznie niezbrane. Żurek ma świadomość mankamentów pierwocin, ale ogłasza je jako rewelację, gdyż wypatruje w nich to same „JA”, które spektakularnie ujawni się potem w *Nagrobku ciotki Cili*. (Dodajmy, że ta śląska epifania i apogeum „lokalności” powraca w całej rozprawie jako punkt odniesienia.) Pierwszym odkryciem jest tekst debiutancki, studencka recenzja powieści *Ruchomy kraj* (1981) Stanisława Piskora. Był to sprawdzian zgodności pisarza z jego manifestem (*Spór o poezję*), sygnowanym wspólnie z Paźniewskim, Sławkiem i Szubą. Katowicka grupa „Kontekst” dialogowała tam z programowymi wypowiedziami Nowej Fali (Barańczaka, Kornhausera i Zagajewskiego). „Kontekstowscy” dzięki relacjom z Zachodem, ruchem hippisowskim, pierwszą w Polsce sangą buddyjską, czy tradycjom Oneironu byli najbardziej kontrkulturowi i okcydentalni, otwarci na inne dyscypliny sztuki, na awangardę i pop, a zwłaszcza na rolę mediów. A jednak pozostali w cieniu kolegów z Krakowa i Poznania, a potem też Gdańska (Rośka i Chwina). Bo w PRL-u ich innowacje „rzutowane były na tradycyjny, hierarchiczny model kultury, który przetrwał co najmniej do roku 1989. Skazani byli na lawiranctwo. [...] To nie mogło nikogo przekonać.” Pod tą gorzką puentą mógłby się podpisać Szymutko, ale cytuję Krzysztofa Uniłowskiego z jego pośmiertnej publikacji (*Awangarda w dobie telewizji*). Krytyk zaprzyjaźniony i zarazem zwaśniony z Szymutką po 40 latach zdaje się przytakiwać jego rozpoznaniu, że Mysłowice i Sosnowiec, to nie Nowy Jork. Ta „rozmowa zmarłych” uświadamia, że Krzysztof kończy tam, gdzie zaczął Stefan, co potwierdza rangę zapomnianego debiutu. Słuszna jest ciekawość Żurka dla pierwszego kroku absolwenta „czerwonego” Uniwersytetu, który za murami uczelni zobaczył przestrzeń podzieloną na „zaścianek” i „wielki świat”, a dziejowy moment (splendor Polski w dobie Solidarności) komplikował tę opozycję. Szymutkowa analiza porażki starszych kolegów zapowiadała „opowieść nierozwojową” o *Chłopcach z Cimoka*, którzy podwórkowe boisko nazwali „Main Road”. Żurek zwraca uwagę, że wstęp do eseistycznej próby napisał Sławek, a postowie Uniłowski, więc zasłużony „kontrkulturowiec” i młodszy „postmodernista” stworzyli ramę dla śląskiego „wyznania wiary” (na skrzydełkach pojawili się nie mniej emblematyczni – „celebrycki” prof. Miodek i „iblowiec” Załeski). Lokalność domaga się zatem „stołecznego” odniesienia. Po debiutanckiej

analizie klęski prowincjuszy dochodzi do oryginalnego, wręcz nowatorskiego rozwinięcia literackiej wiktymologii. Taki jest sens *Artystycznego „nie-dokonania”*, szkicu, w którym Szymutko docieka tajemnicy „pięknych porażek” doznanych przez Choińskiego, Słonimskiego, Lechonia. Ale rewersem porażki jest sukces, więc niemal równocześnie skomentował najświeższe publikacje Białoszewskiego (*Szumy zlepy ciągi, Odczepić się*), który z perspektywy Uniwersytetu Śląskiego jak też IBL-u uchodził za najważniejszego żyjącego pisarza. Poszedł zatem „na całość” konfrontując się z tym, co o literackiej „gwiazdzie” pisze najwybitniejszy komentator (Sławiński) w kanonicznej analizie *Ballady od rymu*. Metainterpretacja dokonana przez świeżo upieczonego magistra wydaje się jego intelektualnym triumfem, lecz odkrytym dopiero przez Żurka! (ten fragment chyba najwyżej cenię w całej rozprawie). Przypomnijmy, Sławiński wyróżnił w *Balladzie* „dwa podmioty mówiące: podmiot działań parodystycznych i ‘podwórzowego’ ludowego narratora”. Ten drugi, naiwny i językowo nieporadny oczywiście sytuuje się niżej, a górujący nad nim „parodysta” ma „prawo ośmieszać ‘podwórzowego’ narratora” (Sławiński, s. 242). Szymutko demaskuje etyczne, polityczne, a także artystyczne bezprawie tej hierarchizacji (także „polityczną niepoprawność” frazy „prymitywny narrator podwórzowy”). Co więcej, jak wytrawny dekonstrukcjonista odwraca wartościowanie Sławińskiego: oto „podmiot-uczestnik” okaże się ważniejszy i bardziej wiarygodny od zewnętrznego obserwatora „podmiotu-świadka”. To wczesny sygnał narastającej tęsknoty Szymutki za „rzeczywistością” postawioną w kontrze do abstrakcyjnych spekulacji, zapowiedź tomów *Rzeczywistość jako zwątpienie* (1998) i *Przeciw marzeniom* (2006) i oczywiście *Nagrobka ciotki Cili* (2001). Dodam, że na śląskim „placu” literalnie widać apologię „podwórka”, które po raz pierwszy pojawiło się (w kontrze do gabinetu intelektualisty, a może salonu?) w interpretacji *Ballady od rymu*. W „balladowym” sporze można usłyszeć kontynuację starcia Poety (rzecznika „prostoty”) ze Starcem (uzbrojonym w „szkiełko i oko”). Z tą różnicą, że ta debata prowincjalnego młodziana rozciągnie się na lat kilkanaście i zapełni kilka artykułów Szymutki! Żurek pilnie obserwuje ten maratoński dialog, zauważając że Czeladnik łagodzi ton pierwszego starcia, by potem rozważać każdy ruch opiewanego „ciała profesora Sławińskiego”. Odrzuci dopiero jego klasyfikację humanistów, gdzie na najniższym szczeblu (obok „szeregowych wyrobników nauki” i „epigonów”) umieścił Sławiński „prowincjuszy” skazanych na bierne przejmowanie „przestarzałych” teorii. Mam wrażenie, że był to efekt strukturalnego myślenia opozycjami, które zawsze - jak pokazał Derrida - powielają hierarchię, utajone wartościowanie, co widać w intencjonalnie „obiektywnym” zestawieniu centrum i peryferii. Szymutko odczuł to boleśnie, odtąd nie zadawała go już postrukturalna rewizja ograniczeń strukturalizmu. Poczuł, że polonistyczne centrum to

zamknięta gildia „sprowadzająca naukę do wyścigu, ‘konkurencji o ilość i jakość języków’” (85). W tej frazie słychać krytycyzm zabarwiony etycznie, ekonomicznie, społecznie, ideologicznie, ale Szymutko nie wypowiedział ideowej wojny, raczej się wycofał, jak sugeruje Żurek (od „modnej” teorii – do „starej” filologii?). Na pewno umocnił swoje zaufanie do tego, co najbliższe i konkretne – bytu, bycia, osoby, materii, ciała, a także afektów („Kto zakazał literaturoznawcy, żywych płomiennych uczuć”? pyta w *Rzeczywistości Joyce’a*). Tak będzie teraz czytał Schulza, Gombrowicza, Broniewskiego, a zwłaszcza autora *Dublińczyków*. Miejsce Sławińskiego zajmie zatem Heidegger, a Heideggera – ciocia Cecylia i dlatego Żurek może tu wypatrywać prekursorstwo wobec dzisiejszej humanistyki zaangażowanej, tym bardziej, że personalizacji i materializacji obrazu świata towarzyszy ukonkretnianie podmiotu, coraz mocniej osadzonego w rzeczywistości życia i świata, coraz głośniejszy dialogujący z otoczeniem. Zgoda, ale „odejście od auktorialności” nie było wyjątkiem wśród katowickich polonistów, zwłaszcza młodszych (z kręgu Leona Neugera). Jednak w przypadku Szymutki proces ten nie zaczął się ani nie osiągnął apogeum w eseistycznym *Nagrobku...* (tu zgadzam się z celną przyganą Żurka).

5. Filolog parnickolog

A jednak wraz z upływem czasu ważniejszy od autora *Sein und Zeit*, a nawet od ukochanej ciotki okaże się Parnicki. Ani „swojski”, ani „konkretny”, a jednak objawi się „Ostatnim Pisarzem Bytu” (o czym traktuje trzeci rozdział rozprawy). Nie będę wchodził w szczegóły, robi to Doktorant, który jest wtajemniczonym w *medias res* parnickologiem. To jego królestwo, w którym dzieli i rządzi, dając popis znajomości źródeł i badań, ale w centrum uwagi znajduje się opis zmiennej relacji Szymutki wobec pisarza i jego dzieła, także innych badaczy, (zwłaszcza konkurentów), wreszcie „bandy” swoich sfanatyzowanych uczniów. Trudno przecenić modelową prezentację recepcji Parnickiego - od gremialnych zachwyty krytyki genialnym „awangardzistą” do przemilczenia albo lekceważenia kiczowatej logorei. Pisarz oskarżony o „socparnasizm” staje się dla Szymutki (nie podejmującego wprost tego wątku) „sprawą osobistą”. Intrygująco zbliżają się do siebie horyzonty autora i badacza, aż po osobliwą komunię Stefana i Teodora. Silne „JA” interpretatora przemienia się w tyleż pokornego co obsesyjnego „dłubacza”, który w nocy śni o przypisach i fiskkach. Słabnie Ego wszechstronnego komentatora tekstów, bo ważniejsze okaże się literalne wyjaśnienie niezrozumiałych fabuł autora *Końca zgody narodów*.

W interpretacji Żurka obie fazy parnickologii Szymutki mają wymiar filologiczny. Widać tu przejście od nowocześnie pojmowanej „miłości słowa” (gościnnie łączącej różne metody i

humanistyczne dziedziny) przez coraz bardziej osobiste interpretacje i sztywniejszą wykładnię, ku praktykowaniu filologii pojętej jako elementarna praca nad tekstem. Blisko „genetyki tekstów” i rygorów edytorstwa z domieszką antykwarycznego „szaleństwa” jakby Borgesowskiego zatracenia się w świecie liter i przecinków. Doktorant zauważa rezygnację z roli „uczonego” (tę zostawia Sławińskiemu i Kłosińskiemu), bo Szymutko staje się rzemieślnikiem filologii. To regres, ale tryumfalny. Powrót do domu, do śląskich korzeni, do robotniczej tradycji, do kultu dobrej roboty, do manualnego niekiedy obcowania z tekstem, bo „Grunt jest istotą prawdy”, jak pisał Heidegger w jego ulubionych *Przyczynkach* (351).

W filologicznej opowieści o przechodzeniu od wzniosłej teorii do przyziemnej praktyki niejasne pozostaje, dlaczego arcyśląski badacz wybrał właśnie autora *Tylko Beatrycze?* Odpowiedzi próbowałbym szukać w pierwszym akapicie *Chłopców z Cimoka*:

„Swego czasu i w swoim miejscu – w śląskim uniwersytecie – adiunkt Jerzy Illg, zastawszy asystenta Stefana Szymutkę, nad *Józefem Balsamo* Aleksandra Dumasa, rzekł: ‘Ja, ino jeszcze fuzbal i piwo’”.

Gombrowiczowskie starcie adiunkta z asystentem, (jedno z niezliczonych w biografii Szymutki) ma swoją prehistorię. Kiedy Illg współorganizował akademicką „Solidarność” a potem „konspirę”, wtedy Szymutko został wcielony do wojska (dzieci inteligentów zwykle unikały „woja”!). A kiedy w roku 1981 wypuszczony z koszar wrócił na UŚ, wtedy jego starszy kolega stamtąd „wyleciał”, by potem przygarnięty przez krakowski „Znak”, opuścić śląską prowincję i stać się cenionym wydawcą, przyjacielem noblistów (Miłosza, Szymborskiej, Brodskiego). Ta „wyższość” przyszłego „światowca” ujawnia się w jego dialogu ze śląskim „plebejem”, którego „niższości” nie zdradza bynajmniej piwo ani kopana piłka, lecz lektura... Dumasa. Trzeba dopowiedzieć, że dzieci z proletariackich śląskich rodzin, zwłaszcza chłopcy (także Koziołek, Uniłowski czy Kadłubek) wkraczali w kulturę jako czytelnicy historycznej prozy (najczęściej *Trylogii*) i tą ścieżką podążał Szymutko terminując u znawcy Sienkiewicza (Bujnicki), pracując pod kierownictwem edytora *Popiołów* (Paszek) i pisząc magisterium o *Czerwonych tarczach*. Co dalej? Ostatnie słowo w tym gatunku zapewne należało do Parnickiego, którego osoba (narodowo-kulturowego mieszańca) i osobliwa twórczość sytuowała się poza osią binarnych podziałów. Ośmieliłbym się go zestawić z romansową dziwacznością Józefa Balsamo. Może ta kolorowość Parnickiego zwabiła Szymutkę (podobnie jak Cagliostro autora *Trzech muszkieterów!*), więc „adoptował” alchemika-uwodziciela, a zarazem wzgardzoną „gnidę” do swojego prywatnego *locum*?

Ta sugestia potwierdzałaby liczne intuicje Doktoranta głęboko wchodzącego w skórę i duszę osoby nieznanej mu przecież bezpośrednio. Tak jak kiedyś Stefan potrafił wcielić się w Teodora, tak teraz Łukasz empatycznie rozumie Stefana i dlatego w wielu cytatach słyszę ton Żurka, szczególnie w gorzkiej Stefanowej diagnozie sprzed kilkunastu lat:

„Już nie można doszukiwać się rzeczy w słowie! Ponieważ w Polsce nie tworzy się teorii, lecz ją importuje, najważniejsze są kwestie dystrybucji – [...] kto kontroluje przepływ tego towaru, kto ustala koniunkturę, rządzi rynkiem, kto nim administruje.”

Zdaje mi się, że Doktorant – w całej rozprawie – nie tylko podziela powyższe rozpoznanie złego stanu „wyobcowanej” teorii (szerzej: polonistyki), ale też wykracza poza jej publicystyczne ostrze. Szuka panaceum - i jak się rzekło - znajduje je (współmyśląc z Szymutką) w koncepcie bardziej otwartej i upodmiotowionej filologii. Nie wiem czy Żurek ma pełną świadomość, jak niedawno ta dziedzina (w rodzimym wydaniu) dotkliwie kojarzyła się z konserwatyzmem i elitaryzmem, a teraz współbrzmi z tezami nowego historycyzmu czy upolitycznionej, wyraźnie lewicowej humanistyki! Aczkolwiek taka reinterpretacja w duchu dzisiejszych czasów (i mód) nie kłóci się z ewolucją Szymutki, którego ostatni uczeń i spadkobierca, Paweł Tomczok, utożsamia się z krytyką marksistowską, zaś Anna Kałuża myśli radykalnie feministycznie i ekologicznie.

6. *Locum* i archiwum

Spadkobierców Szymutki jest jednak więcej, toteż Żurek scala owo dziedzictwo wokół „zlokalizowanej” filologii, wpisując śląskiego Sokratesa w ruch czy, odruch czy zew bliski Platonowi, Heideggerowi, Derridzie. To archaiczna tęsknota za macierzyńską figurą zwaną *chora* („naczynie, matka, żywicielka”, Derrida 93), za terytorium zagospodarowanym inaczej niż abstrakcyjna przestrzeń filozofii. *Chora* oznacza „kraj, miejsce zamieszkania, konkretną siedzibę [...] terytorium, region” (D 54), tutaj słowo może być bliskie ciała!

Tak podsumowałbym bodaj najambitniejszy i najsubtelniejszy wymiar dysertacji mgra Żurka, która oprócz intelektualnej odkrywczości posiada nicomal namacalne walory, bo dla młodego filologa takim życiodajnym miejscem matczynym jest archiwum, któremu poświęca ostatnie 40 stron pracy. Finałowy rozdział to dla niego metodologiczne apogeum, a zarazem kwestia etyczna i honorowa. Łatwo gadać o filologii i archiwach, łatwo teoretyzować (co też potrafi), ale czymś podstawowym jest archiwalna robota. Doktorant był świetnie do niej przygotowany, ale skromne archiwum Szymutki (głównie książki, bo rękopisów niewiele, a komputer niedostępny), to skromne pole do penetracji. Tym niemniej udało mu się dostrzec,

zinterpretować i włączyć do głównej narracji sporo drobinowych spostrzeżeń (np. dedykacje na książkach, noty na marginesach, skreślenia i podkreślenia). Wzorcowym znaleziskiem okazała się enigmatyczna, mała żółta książeczka (*Spór o poezję*), tak „zacytana”, że zaintrygowany badacz odkrył w niej ślady prowadzące do zapomnianego debiutu.

Zainspirowany odkryciami Doktoranta miałbym ochotę zastanawiać się nad kolejnymi aspektami „lokalności” Szymutki, choćby jego humorem („sprowadzającym na ziemię”), *genius loci* przygranicznych Mysłowic (esej Jochemczyka), czy domowością seminarium „Szymutkokratesa” (ostatnio opisanego przez Koziółka), ale są to przecież kwestie wykraczające poza filologię.

Podsumowując, jestem poruszony i zachwycony niekonwencjonalnym dokonaniem badawczym mgra Żurka, podziwiam wnikliwość jego wizji współczesnego literaturoznawstwa, a także pasję unowocześnienia tradycji filologicznej i archiwistycznej. Nie ukrywam wdzięczności za reaktywację pism i myśli mojego uniwersyteckiego kolegi, których oryginalności i rangi nie byłem w pełni świadom (mimo naszej intelektualnej bliskości).

Stwierdzam, że dysertacja p. mgra Łukasza Żurka z nadwyżką spełnia ustawowe wymogi stawiane rozprawie doktorskiej i wnoszę o dopuszczenie go do kolejnych etapów przewodu doktorskiego.



Katowice/Warszawa 8 marca 2021